

# Stanisław Mikke

---

## Trzecie pokolenie

---

Palestra 49/5-6(557-558), 69-71

---

2004

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# BEZ TOGI



*Stanisław Mikke*

## Trzecie pokolenie

„Nie ukarana zbrodnia – powiedział przed laty Antoni Słonimski – jest jak zatrute wino”. W tym lapidarnym stwierdzeniu zamyka się to, co niesie ze sobą nierozliczenie się ze złą, zbrodniczą często, przeszłością.

Że to proces niełatwy, wiedzieliśmy z historii sprzed półwiecza na przykładzie zachodniego sąsiada. Ale wraz z urzeczywistnieniem się niemożliwego, kiedy nadeszła wolność, przyszło i nam, w świecie jak najzupełniej realnym, zmierzyć się z dziedzictwem totalitarnego nieprawia i niegodziwości.

W przekonaniu bardzo wielu obecne choroby, cynizm, hipokryzja, korupcja i inne jeszcze grzechy główne w życiu publicznym, a wszystko na niebotyczną skalę prowadzące do społecznej apatii, wręcz jakiejś wtórnej wewnętrznej emigracji, która obejmuje coraz szersze kręgi, to nic innego, tylko skutek niezdefiniowania zła poprzedniego systemu przez sprawiedliwy osąd.

Spijamy zatem zatrute wino, a dramatyczne pytanie, jakie się rodzi, dotyczy czasu, w którym, chcąc nie chcąc, będziemy pozostawać pod wpływem tegoż wina, z win nieosądzonych.

Byliśmy lepiej lub gorzej informowani o zmaganiach z ludobójczym dziedzictwem hitleryzmu. Na płynące bowiem doniesienia nakładała się kłamliwa komunikacyjna i ze straszakiem rewizjonizmu w rękach, propaganda, utrudniająca często rozróżnienie, co rzeczywiste, a co wytworzone lub zinterpretowane na jej użytek. Mimo to wiadomo było, że choć pozornie Niemcom udało się dokonać rozrachunku, przede wszystkim za sprawą ustaw denazyfikacyjnych, bo demokratyczne państwo zaczęło krótko po wojnie funkcjonować, to z problemami zbrodniczej spuścizny zmagano się dość długo i z różnymi, ostrożnie mówiąc, efektami. A jednak zaskakującą w tym zakresie wiedzę przyniosła konferencja polsko-niemiecka zorganizowana

zowana przez Instytut Pamięci Narodowej w maju tego roku na temat zbrodni medycyny XX wieku. Już słowo wstępne dr Friedricha Leidingera zapowiadało, czym będzie to spotkanie. Rozpoczął on swoje wystąpienie stwierdzeniem, że w Niemczech przerażenie upadkiem cywilizacyjnym, jakim było mordowanie nieuleczalnych i niepełnowartościowych, „odczuwalne, być może, jeszcze w pierwszych latach po wojnie, ustąpiło dość szybko ogólnemu wyparciu i zaprzeczeniu”. Zachodniemieckie społeczeństwo powojenne – mówił dalej dr Leidinger – zamknęło swoje zmysły na los ofiar i ich rodzin, wymiar sprawiedliwości zaś zawiódł wobec sprawców. A nauka? Tak jak i organizacje odpowiedzialne za poziom zawodowy i etyczny lekarzy wykazała się „skandaliczną nieczułością”.

Inny z prelegentów, dr Michael Wunder mówiąc o medycynie i sumieniu przywołał znane zdanie niemieckiego filozofa Theodora W. Adorno, który w refleksjach na temat Oświęcimia napisał: „Co raz było możliwe, pozostanie wiecznie możliwe”. I właśnie wokół tej myśli dr Wunder zbudował swe rozważania. A zatem coś co zaistniało, istnieje już na zawsze, z jednej strony jako rzeczywistość historyczna, z drugiej strony jako permanentna możliwość. Gdy nie stawia się prostego znaku równania, bo to niedopuszczalne uproszczenie, między tym, co było, a pewnymi tendencjami czy skłonnościami, dopiero wtedy można sobie uprzytomnić, że nowe niebezpieczeństwa w przepoczwarzonej postaci nabierają realnych kształtów. Fakt, że społeczeństwo niemieckie i środowiska lekarskie nie zajmowały się przeszłością medycyny, było, zdaniem Michaela Wundera, wynikiem „odkryminalizowania” w społecznej świadomości zbrodni lekarzy. Oni – to padło podczas Norymberskiego Procesu Lekarzy z 1947 roku – nie działali przecież jak zwykli kryminaliści. Byli wyposażeni w atrybuty służby medycznej. Można powiedzieć, że analogicznie było z funkcjonariuszami – zbrodniarzami w tamtym i w innych systemach totalitarnych. Mordując wmawiali nie tylko sobie, że nie działali jako zbrodniarze, bo ich tarczą i mieczem była funkcja państwowa. Niemiecki psychiatra przypomniał w tym miejscu, co mówił o źródle ludobójczych zbrodni amerykański lekarz uczestniczący z ramienia USA w Norymberskim Procesie Lekarzy, Leo Alexander. Otóż jego zdaniem zaczęło się od trwałego przesunięcia w zasadniczej postawie niemieckich lekarzy, którzy zaakceptowali pogląd, jakoby istniały osoby, których życie jest niewarte, aby je przeżyć, czyli osoby poważnie i chronicznie chore. Stopniowo ten krąg poszerzał się i rozciągnął na „osoby społecznie bezproduktywne, niepożądane ze względów ideologicznych, niepożądane ze względu na rasę”. Wystarczył i wystarczy – woła Wunder swą wypowiedzią – jeden krok, niewielkie przesunięcie, aby rozpoczął się zjazd po śliskiej równi pochyłej.

Niemcy nawet nie podpisały (Polska podpisała, lecz nie ratyfikowała) Konwencji Bioetycznej Rady Europy z Oviedo uchwalonej w 1997 roku. Konwencja ta (pełna nazwa: Porozumienie o Ochronie Praw i Godności Człowieka Wobec Zastosowań Biologii i Medycyny) dopuszcza m.in. doświadczenia na ludzkich embrionach oraz zezwala przeprowadzać doświadczenia dla cudzej korzyści na osobach niezdolnych do wyrażenia na nie zgody, takich jak upośledzonych umysłowo, cierpiących

na demencję, bądź w stanie śpiączki, jeżeli te doświadczenia przyniosą potencjalną korzyść innym osobom.

W 1999 roku zebrano w Niemczech 2 miliony podpisów – protestów przeciwko przystąpieniu do tej Konwencji. Ale zanim duża część społeczeństwa niemieckiego dojrzała do takiej postawy musiało minąć wiele lat niechlubnych poczynań i zaniechań. Nierozliczenie się o czasie z hańbiącą przeszłością niemieckiej medycyny dawało o sobie znać. Jeszcze w latach sześćdziesiątych – mówił cytowany wcześniej dr Friedrich Leidinger – ludzie przewlekłe chorzy i umyślowo niesprawni byli wykluczeni ze społeczeństwa i dyskryminowani. Żyli „w niegodziwych, nieludzkich warunkach najczęściej w przeludnionych zakładach”. Lekarze obciążeni działaniami przed 1945 rokiem wtedy nadal czynni zawodowo i naukowo wychowywali swoich następców. Nowe pokolenie wychodziło z cienia akademickich nauczycieli. Byli jednak „dziećmi” zbyt nieśmiały, jak chce dr Leidinger (a może, dodajmy, z wypaczonym widzeniem spraw z nieodległej przeszłości), aby podjąć dyskusję na drażliwy zapewne temat. Dopiero na przełomie lat siedemdziesiątych, gdy ci drudzy zaczęli ustępować miejsca „wnukom” niemającym już zahamowań, owo trzecie pokolenie wydobyło na światło dzienne coś, co wywołało szok i przerażenie. Ujawniono bowiem, że „ocaleni z eutanazji i przymusowej sterylizacji, zhańbieni, pozbawieni praw i okaleczeni przez państwo, pozostają również w zachodnio-niemieckiej demokracji zmarginalizowani i dyskryminowani”. W przeciwieństwie do innych prześladowanych z powodów rasowych, religijnych czy politycznych nigdy nie otrzymali żadnego odszkodowania. Musiały upłynąć kolejne lata, zanim w 1987 roku parlament postanowił przyznać nielicznym, jakże nielicznym, ocalałym ofiarom medycyny nazistowskiej symboliczne zadośćuczynienie.

Nie mają sensu ani uproszczone analogie, ani stawianie prostych znaków równości. Chyba jednak warto przyrzeć się uwarunkowaniom i skutkom ograniczania społeczeństwu prawa do prawdy w różnych płaszczyznach i we wszystkich jej przejawach. Także w postaci sprawiedliwego osądu, choćby społecznego. Warto też przynajmniej podjąć próbę pobrania nauki z doświadczeń innych. W przeciwnym wypadku pozostaje czekać na przebudzenie trzeciego pokolenia.